



Mirosław Derecki
WŚRÓD DZIECI DLA DZIECI...
ROZMOWA Z DR MED. JOACHIMEM JUHNKE –
PEDIATRĄ, SPOŁECZNIKIEM

- Od czterdziestu lat jest pan doktor związany z lubelskim leczeniem; leczy pan już wnuki swoich dawnych pacjentów. Cieszy się pan opinią lekarza kochającego swój zawód, doskonałego diagnosty i terapeuty, a w dodatku człowieka, na którego zawsze można liczyć, który gotów jest nieść pomoc o każdej porze dnia i nocy.

Po wojnie organizował pan leczenie dziecięce na Lubelszczyźnie, przez dwadzieścia siedem lat sprawował pan doktor funkcję radnego miejskiego, jest pan wieloletnim prezesem lubelskiego oddziału Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego... Skąd to połączenie medycznych i społecznikowskich pasji? I jak potrafi pan godzić te dwa tak bardzo odpowiedzialne zajęcia, skąd pan bierze na to czas i siły?

- Myślę, że - jeśli chodzi, o pediatrię - trafiłem na swoje prawdziwe powołanie życiowe. A co się tyczy zacięcia społecznikowskiego, to wyniosłem je bezsprzecznie z harcerstwa. W latach gimnazjalnych byłem bardzo związany z polskim skautingiem i właśnie harcerstwo było dla mnie, jak również dla ogromnej większości moich rówieśników, szkołą życia, szkołą postaw obywatelskich. Korzeni postaw zawodowych i społecznikowskich ludzi mojego pokolenia trzeba szukać w większości przypadków właśnie w harcerstwie.

- I we wzorcach wyniesionych z domu rodzinnego...

- To wszystko działało w silnym powiązaniu: rodzina, dom, organizacja młodzieżowa, atmosfera panująca w szkole, do jakiej się uczęszczało. Wzrastaliśmy w duchu, głębokiego patriotyzmu. W moim i moich kolegów przypadku był on tym silniejszy, że pochodziliśmy z terenów poddawanych przez dziesiątki lat działaniom germanizacyjnym; mieszkaliśmy na Pomorzu, w miasteczku Sępólno Krajeńskie, w dawnym powiecie złotowskim. Nawet po odzyskaniu niepodległości problemy „polskości” i „niemieckości” mieszkańców tych ziem wcale się nie skończyły. W wyniku Traktatu Wersalskiego wschodnia część dawnego powiatu złotowskiego przypadła Polsce, a zachodnia Niemcom, ale właśnie w tej wschodniej części

mieszkał bardzo znaczny odsetek Niemców, którzy nie chcieli się pogodzić ze swoją obecną przynależnością państwową...

- Czy już w szkole myślał pan o zostaniu lekarzem?

- Tak. I to było zresztą dość paradoksalne, bo gimnazjum w Chojnicach, do którego uczęszczałem, było typu „klasycznego”. Królowała w nim łacina, greka, historia. Matematykę traktowano dość „ulgowo”, a co dopiero mówić o biologii... Było już niejako tradycją, że wielu chłopców po ukończeniu naszego gimnazjum poświęcało się stanowi duchownemu; zazwyczaj jedna trzecia maturzystów wstępowała do seminarium. W szóstej klasie gimnazjalnej, a więc na dwa lata przed maturą, zafascynowała mnie biologia, nauka o człowieku i nauki medyczne. A zawdzięczam to profesorowi biologii, który przyszedł właśnie wtedy do naszej szkoły i potrafił przekształcić nieco pogardzaną dotychczas biologię w jeden z najbardziej ciekawych przedmiotów. Dotąd miałem jedną tylko fascynację: harcerstwo. Teraz zyskałem jeszcze jedno poważne zainteresowanie.

- Harcerstwo to były obozy, wycieczki, życie na łonie natury...

- Owszem, to też. Ale przede wszystkim harcerstwo to była praca, działalność organizacyjna wśród rówieśników i wśród młodszych kolegów. W Sępólnie byłem współzałożycielem drużyny harcerskiej; w Sępólnie doszedłem do funkcji zastępcy komendanta hufca. Zdobyłem godność Harcerza Orlego: nosiłem Krzyż Harcerski ze złotą lilijką i złotym kółkiem...

- A co z medycyną?

- W 1936 r., po maturze, zdałem egzamin konkursowy na Wydział Lekarski Uniwersytetu Poznańskiego. Była to wielka radość dla moich rodziców, którzy mimo skromnych dochodów pomagali mi zawsze i zawsze zachęcali do nauki. Niestety, na uzyskanie przeze mnie dyplomu rodzina musiała czekać dłużej niż zazwyczaj: kiedy, szykowałem się do podjęcia, czwartego roku studiów, wybuchła wojna. Dalsze studia miałem rozpocząć dopiero w 1945 r.

- Ale podczas wojny nie zerwał pan z medycyną; jeszcze się do niej zbliżył?

- A stało się tak dzięki temu, że musiałem uciekać ze swoich stron rodzinnych, gdzie Niemcy miejscową inteligencję masowo wywozili do obozów koncentracyjnych. Ja jeszcze byłem na dodatek znanym, działaczem harcerskim, więc los mój wydawał się przypieczętowany... Wracajmy jednak do medycyny: otóż miałem w Lubinie koleżankę z Sępólna, która pracowała w tutejszej Izbie Lekarskiej. Ona właśnie wystosowała do mnie oficjalne „zapotrzebowanie” - na urzędowym blankiecie niemieckim i z odpowiednimi pieczęciami - na tzw. „lekarza pomocniczego” w szpitalu w Biłgoraju. Zaopatrzony w taki dokument, bez przeszkód przekroczyłem granicę pomiędzy Reichem a Generalną Gubernią i trafiłem na cztery lata pod opiekuńcze skrzydła dyrektora biłgorajskiego szpitala, doktora

Pojaska. Było nas tam chyba trzech czy czterech takich półlekarzy uciekinierów i jeszcze jeden nie dokończony student farmacji jako pomocnik szpitalnego aptekarza. Nauczyłem się wiele z praktycznej medycyny. A że to była wojna, lekarzy brakowało, a szpital, jak każdy ówczesny szpital prowincjonalny, miał „przechyl” chirurgiczny, zoperowałem nawet „swoje” pierwsze wyrostki... No, a 1 stycznia 1945 r. z „lekarza” stałem się znowu studentem: zacząłem uczęszczać na Wydział Lekarski UMCS w Lublinie.

- „Cofnął” się więc pan na czwarty rok studiów?

- A, nie, nie! „Awansowałem” na rok piąty, ostatni! Bo taka była wówczas zasada, że wszystkim byłym studentom medycyny, którzy przez okres całej okupacji pracowali w szpitalach, nabierając sporej przeciw praktyki, „darowywano” jeden rok studiów „do przodu”. Trzeba tutaj dodać, że w ogóle mój rok był dość specyficzny; większość studentów to byli ludzie w mundurach i ze stopniami oficerskimi, oddelegowani z lekarskiej służby frontowej na dokończenie studiów.

- Czy właśnie wówczas zainteresował się pan doktor pediatrią?

- Wie pan, wtedy to my wszyscy chcieliśmy być chirurgami! Taka była moda wśród młodych ludzi kończących studia medyczne. I ja nawet, istotnie, o mały włos nie zostałem chirurgiem! Na piątym roku otworzyły się przede mną nagle aż dwie perspektywy: mogłem „zaczepić się” albo na chirurgii, w ówczesnym Szpitalu Syna Bożego, albo na pediatrii, w podlegającym Szpitalowi Szarytek dziecięcym Szpitaliku im. Dzieciątka Jezus przy ul. Staszica. Wakowało tam miejsce tzw. „lekarza dyżurnego”, zwanego także „lekarzem miejscowym”. W ówczesnej nomenklaturze „lekarz dyżurny” to był lekarz stale zamieszkały na terenie szpitala, obowiązany do pracy na każde wezwanie, w dzień i w nocy. Było więc do objęcia: stanowisko, własny pokój, a w dodatku... dawali za darmo posiłki ze szpitalnego kotła. Rzecz bardzo ważna dla studenta!. I jeszcze jedno: człowiek stawał się pracownikiem wyższej uczelni; bo szpital otrzymał status kliniki uniwersyteckiej. Tak więc zdecydowałem się na pediatrię, o której zresztą myślałem podczas Studiów w Poznaniu.

No, ale chcieć zostać zaangażowanym - to jeszcze mało: trzeba żeby chciano człowieka zaangażować! Miałem poparcie znanego lubelskiego pediatry, doktora Ślaskiego. Ale kiedy znalazłem się przed obliczem dyrektora szpitala, dr Klepackiego, zapytał mnie przede wszystkim: „Co pan umie?”. A ja umiałem bardzo niewiele. Potrafiłem jednak robić intubację - nauczyłem się tego pod okiem doktora Pojaska w Biłgoraju - i to chyba zadecydowało o moim przyjęciu. Intubacja to zabieg polegający na umieszczeniu specjalnej rurki w krtani dziecka chorego na dyfteryt, aby uratować je przed uduszeniem. Ale wówczas, po wojnie, dyfteryt był prawdziwą plagą, niemal z pogranicza epidemii. Nie każdy lekarz, nawet doświadczony pediatra, potrafił dokonać intubacji. No więc ze swoją umiejętnością byłem przydatny dla szpitala.

- Właśnie; jak się przedstawiał po wojnie stan lubelskiej pediatrii?

- Proszę pana, po wojnie leczenia dziecięcego, w sensie wyodrębnionej specjalności, prawie w Lublinie nie było. Społeczne leczenie dziecięce niemalże nie istniało. Była jedna dziecięca przychodnia w Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Hipotecznej i jedna „u Jana Bożego”, w ówczesnym Szpitalu Miejskim. Lekarzy pediatrów, uprawiających praktykę prywatną, można było policzyć na palcach: dr śląski, dr Klepacki, dr Cywiński, dr Sławińska-Freitag i jeszcze kilka innych osób. Jeżeli dodać do tego brak leków, nieobecność antybiotyków, to trudno się dziwić, że śmiertelność wśród dzieci w tamtych czasach była znacznie większa niż dzisiaj.

- Stał się pan jednym z pionierów leczenia dziecięcego na Lubelszczyźnie...

- To prawda. W maju 1949 r., będąc już po doktoracie i sprawując funkcję starszego asystenta kliniki pediatrycznej, zostałem powołany na stanowisko dyrektora w Centralnej Poradni Ochrony Macierzyństwa i Zdrowia Dziecka, której zadaniem była organizacja społecznej służby zdrowia pediatrycznego w województwie lubelskim. Sytuacja dla młodego człowieka, który zgodził się wziąć na siebie taki obowiązek, wręcz „rozpacзлиwa”. Teren - całkowicie zaniedbany. Przychodnie pediatryczne egzystowały tylko w Zamościu, Łukowie, Białej Podlaskiej, Hrubieszowie i chyba jeszcze w Lubartowie. Przychodni dla kobiet nie było właściwie wcale. Nie istniały oddziały dziecięce w szpitalach, a pediatrów w całym regionie było tyłu samo, co w Lublinie, a może i mniej: w Lubartowie - dr Łabuciowa, w Hrubieszowie - dr Sznajbergowa, w Zamościu - dr Onyszkiewiczowa, w Łukowie - dr Siwakowa, w Białej Podlaskiej - dr Ogłozowa i to chyba wszyscy.

Na prowincji przeważał typ lekarza „uniwersalnego”. Specjalistów trzeba było dopiero szkolić, zachęcać do podejmowania specjalizacji; kończących studia i oczekujących na „nakazy pracy” - werbować do pracy w nowo organizowanych poradniach. Często zresztą oni sami byli organizatorami tych poradni. Każdy lekarz naszej lubelskiej kliniki miał pod swoją opieką jakiś szpital w terenie, gdzie zorganizowano oddział pediatryczny. Lekarze z terenu w każdej chwili mogli zadzwonić do Lublina, do dr. Klepackiego, Śląskiego lub do mnie, jeżeli mieli jakieś, szczególne trudności w leczeniu... Tak, dziesięć lat przepracowałem w „administracji” i w ciągu tych dziesięciu lat, właściwie z niczego, powstała cała dziecięca służba zdrowia na Lubelszczyźnie.

Po dziesięciu latach wziąłem rozbrat z administracją, a w 1970 r. - także z Akademią Medyczną: otrzymałem wówczas ordynaturę dziecięcego Oddziału Schorzeń Jelitowych w Szpitalu Wojewódzkim przy ul. Biernackiego, dawnym - zrosniętym z historią lubelskiego szpitalnictwa - Szpitalu Jona Bożego.

- W początkach pańskiej kariery lekarskiej jedną z najgroźniejszych chorób dziecięcych był dyfteryt. A jak dzisiaj, po czterdziestu latach? Jakie są dzisiaj najczęściej spotykane choroby dziecięce, które wam, lekarzom, przysparzają największej troski?

- Dominują schorzenia dróg oddechowych z odczynami astmatycznymi. Ten rozwój schorzeń astmatycznych to zresztą „zasługa” rozwoju cywilizacji. Podam tylko taki przykład z naszego regionu: pewnie pamięta pan, że przez długie lata wiele matek wyjeżdżało w lecie z dziećmi do Puław. Tak, do Puław, które były traktowane jako swoisty lubelski kurort. Ale od czasu, kiedy zbudowano puławskie Azoty, tamtejsze matki przyjeżdżają ze swymi dziećmi do lubelskich klinik.

Więcej też mamy dzisiaj u dzieci chorób krwi i więcej jest dziś dzieci z wadami wrodzonymi.

A swoją drogą medycyna dziecięca, jak zresztą cała medycyna, poszła szalenie naprzód. Po wojnie często bywaliśmy bezradni wobec niektórych schorzeń i przypadków. W latach pięćdziesiątych umieralność dzieci do jednego roku życia wynosiła od 4 do 12 procent. Umierały przede wszystkim dzieci z uszkodzeniami podczas porodu, wcześniaki, teraz się je ratuje. Dzisiaj umieralność dzieci do jednego roku nie przekracza jednego procenta.

- I tutaj musi się wyłonić w naszej rozmowie problem dzieci upośledzonych. Z tym się łączą wieloletnie zabiegi pana doktora, także jako radnego miejskiego, w sprawie budowy w Lublinie specjalnego zakładu rehabilitacyjnego dla takich dzieci.

- Niestety, nie wiem, czy kiedykolwiek taka inwestycja wejdzie w stadium realizacji. A była już przyznana lokalizacja na jednym ze wzgórz sławinkowskich i zlecona nawet dokumentacja obiektu. Jak to niejednokrotnie bywa: w ostatecznym rozrachunku zabrakło pieniędzy...

W latach siedemdziesiątych wystąpiłem z projektem zorganizowania i wybudowania dużego obiektu rehabilitacyjnego, z częścią przystosowaną dla lecznictwa zamkniętego oraz otwartego, gdzie dzieci w lepszym stanie zdrowia mogłyby przychodzić wraz z matkami na zajęcia rehabilitacyjne. Zawsze doceniałem ogromną rolę domu, rodziny, matki w procesie leczenia, a także - rehabilitacji małego pacjenta. Zawsze starałem się, i nadal się staram, trzymać dziecko, jeżeli to tylko możliwe, jak najdalej od szpitala. Dlatego dla „pensjonariuszy” projektowanego ośrodka rehabilitacyjnego przewidywałem system osobnych, 4-5 osobowych, sekcji, albo inaczej: „grup opiekuńczych” czy też osobnych „domów”, gdzie tych właśnie czterech lub pięciu małych pacjentów, skazanych na długi pobyt w ośrodku, stanowiłoby namiastkę rodziny, ze stale opiekującą się nimi „matką”-pielęgniarką. W czasie wieloletniej praktyki lekarskiej stwierdziłem, że wielkie, kilkunasto- lub kilkudziesięcioosobowe sale wpływają fatalnie na stan psychiki i zdrowia małych pacjentów... W części „otwartej” projektowanego przeze mnie obiektu mieściłby się także m.

in. hotelik dla matek przyjeżdżających wraz z dziećmi na kilkudniowe lub miesięczne ćwiczenia rehabilitacyjne i uczestniczących przy zabiegach. Aby potem potrafiły stosować te same ćwiczenia z dziećmi, po powrocie do domu. Jaki to miał być piękny ośrodek: pokoje mieszkalne, sale gimnastyczne, baseny...! Wszystko pozostało - na papierze...

Ale, proszę pana! Co tu mówić o takim dużym ośrodku! Ileż to było trzeba zachodu ze strony radnych miejskich, żeby doprowadzić do zakończenia budowy ośrodka zdrowia przy ul. Juranda. Budowy, która ciągnęła się pięć lat! A ile, żeby doprowadzić do uruchomienia przedszkola dla dzieci upośledzonych!

Wywalczyliśmy również budowę wielkiej przychodni ogólnej przy ul. Klinicznej. Po wybudowaniu, gmach został jednak przeznaczony na Instytut Stomatologii Akademii Medycznej.

Każda kolejna rada miejska przystępuje do swej działalności pełna ambicji, entuzjazmu i wielkich planów, a potem rzeczywistość skrzeczy... A jakie nieraz różni ludzie na wysokich stanowiskach mają pomysły! Czy pan wie, że kiedyś właśnie, jako radni miejscy, z największym trudem uratowaliśmy Lublin przed kasacją trolejbusów? I co by teraz było przy obecnych trudnościach paliwowych? Czym byśmy jeździli po mieście? No cóż, może kiedyś zaświta jutrzienka i dla ośrodka rehabilitacyjnego na Sławinku?

- Panie doktorze, ostatnie pytanie: rok temu przeszedł pan na emeryturę, ale nadal prawie nie wychodzi pan ze szpitala, można też pana spotkać w przychodni lekarskiej przy ul. Kowalskiej, w przychodni na Kalinowszczyźnie...

- ...a gdzie mam siedzieć? Ja nic innego nie potrafię robić...

Pierwodruk: „Kamena”, 1985, nr 8, s. 1,8.